

Księga wyjścia – 36

22 listopada 2019

Ballada o kontrastach.

W drodze do pracy – pisane w pociągu

Kolejny tydzień pracuję jako ankieter. Trzy tygodnie zaowocowały czterema kluczowymi zauważeniami. Miejscowości ściśle przylegające do stolicy charakteryzują się bardzo bogatą architekturą. Te dalsze już bardziej mieszaną, z wydzielonymi enklawami i trzecie zauważenie to bieda domki takie między pięćdziesiąt, a sześćdziesiąt metrów, na równie mikroskopijnych działkach.



Paradoks polega na tym, że taka chatynka wbita pomiędzy dwa ogromne i bogate domy, w miejscowości gdzie ceny gruntów przebiły skalę sufitu, tak naprawdę nie stanowią żadnej deweloperskiej wartości. Są zbyt małe, by postawić willę odzwierciedlającą bogactwo właściciela. Zazwyczaj żyją w nich starsze kobiety, naprawdę w tym przypadku statystyki nie kłamią, wszędzie mieszkała samotna babcia, ani razu nie trafiłem na mężczyznę. Ze względu na naprawdę niedużą wielkość

tych działek, po śmierci leciwych mieszkańców, za niewielkie pieniądze, kupi to któryś z sąsiadów i będzie miał idealne miejsce na basen.

Ostatnie z nietypowych zauważeń wprowadziło mnie w zakłopotanie i refleksję. Jest to konkretny przypadek. Wśród domów klasy średniej wyższej, zauważyłem dosyć ładny, prawie nowy dom. Wykończony, widać, że kolor tynku w żywych jeszcze barwach, których nie pokrył brudny kurz i modna, ale skromna i nie ekstrawagancka architektura. Przy drzwiach wystawały ze ściany dwa grube przewody. Pomyślałem, że jeszcze wykańczają, a przewody zostały wyprowadzone, by powiesić tam jakąś lampę. Na ogromnej działce nic, prócz trawy, nawet jednego drzewka. Wniosek, dopiero zakończyli budowę i niedawno zamieszkali.

Dom oddalony od furtki, ale właściciel krzątał się przy furtce. Na pytanie czym ogrzewa, powiedział, że drewnem, nawet mnie to nie zdziwiło, ponieważ spora część mieszkańców ogrzewających domy gazem, a posiadających również kominki sądzi, że o tym gazie mówić nie trzeba. Dopiero gdy dopytujemy okazuje się, że gaz jest ich głównym ogrzewaniem, natomiast kominek tylko okazjonalnie. A podają nam jedynie informację o drewnie myśląc, że wyłapujemy tylko te miejsca gdzie dymią kominy.

Ale wracając. Ponieważ mężczyzna podał niewielką ilość zużywanego drewna, pewnym głosem powiedziałem – „to jeszcze gaz muszę zapisać”. Odpowiedź mnie powaliła. „Nie używam gazu, już mnie nie stać. Drewno dostaję od gminy i cała ogrzewana przestrzeń domu wynosi 25 mkw. Gdy zaczynałem budowę byłem całkiem zamożnym człowiekiem, zarabiałem naprawdę dobrze. Jednak już po zakończeniu budowy miałem wypadek, który wykluczył mnie z życia zawodowego. Teraz jestem na łasce pomocy społecznej i gminy. Jak pan widzi mam dom, ma on 140 mkw, ale pracując na zleceniach w momencie tragedii, zostaje się dziadem. Dom pewnie sprzedam” – podsumował nasz polski kapitalizm, jeszcze niedawny milioner.

Przesiadka pisane w metrze

Wbrew obawom, mieszkańcy tych naprawdę wypasionych willi, gdy tylko dowiedzieli się, że spisujemy piece i rodzaj ogrzewania, bardzo chętnie podawali wszelkie dane, zdawali sobie bowiem sprawę, że nawet jeśli sami mają ekologiczne ogrzewanie, to sąsiedzi nawet ci dalsi paląc „czymkolwiek” trują także ich i ich dzieci.

W miejscowościach bardziej oddalonych, a zwłaszcza w ich starszych i biedniejszych częściach, ludzie nieufnie podchodzili do udzielania informacji. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że czegoś się boją. Nie sędzę jednak, że obawiali się tego, iż odkryjemy palenie śmieci, tylko nigdy dotychczas nic dobrego z tych spisów nie wynikało. Bo albo za PRL jakiś „domiar”, melioracja, nowa droga, która przetnie im i tak niewielką działkę, lub wzrost opłat za wywóz śmieci.

Dlatego nie dziwiły mnie pytania, które zadawali. Pytali „po co, dla kogo, w jakim celu”. Akurat trafiliśmy na osiedle oddzielone lasem od głównej miejscowości i jak już wspomniałem poza jednym wydzielonym i ogrodzonym obszarem dla najzamożniejszych, były tam same leciwe domy sprzed 30, 40 a nawet i więcej lat. Pewnie kilka powojennych. Były m.in. niedokończone tzw. „klocki polskie” i 50-metrowe chatynki, w których nie tylko dach, ale i zewnętrzne ściany pokryte były papą, te zwykle były ogrzewane popularną niegdyś „kozą”.

Gdy udało już się wyjaśnić w jakim celu zbieramy te informacje, często padało pytanie, zadane już miłym, lekko konfidencyjnym tonem i zupełnie szczerze – „a jak powiedzieć żeby było dobrze? Bo zameldowanych jest ośmioro, a mieszka nas piątka”, lub też odwrotnie „zameldowanych 16, a mieszka nas dwudziestka” – widać że uznali mnie za swojaka, lub wierzyli w szczerą, ludzką rozmowę.

Nie sposób było wyjść z podziwu widząc niewielkie zabudowanie i stłoczone tam trzy czy cztery pokolenia wraz z rodzinami.

Przypomniało mi się wtedy mieszkanie w bloku, w którym niegdyś mieszkałem i 20-metrowa kawalerka zasiedlona przez sześcioro mieszkańców – matkę, syna z żoną i trójką dzieci.

Przesiadka i biegiem, żeby zdążyć na autobus – pisane w autobusie

Po obejściu „ubogiej” części, co nie było łatwe, leśna wcinka. Wydawała się ślepą dróżką z jedną chatą na końcu, nagle za drzewami się rozwidłała prowadząc do kolejnych domów. Zajęło nam więc to sporo więcej czasu niż zakładaliśmy i dodało do cholery i pracy, i kilometrów.

Po powrocie na główne ulice tych miejscowości czekały nas kolejne niespodzianki. Weszliśmy w świat skrajności, rażących kontrastów. Początek jeszcze w zabudowie z lat siedemdziesiątych. Z daleka jednak już widać gdzie zaczyna się najbogatsza część miejscowości. O ile te gierkowskie wille przylegały do chodnika oświetlonego starymi, betonowymi latarniami, to tuż przed pierwszym „nowopałacem” zaczęły się całkiem nowe wielopunktowe latarnie z wysięgnikami, tak by rozświetlić całą okolicę.

Na ogromnych działkach zobaczyliśmy najrozmaitsze domy, które blaskiem włożonych w nie pieniędzy, przyćmiewały światła tych nowych ulicznych lampionów. Ludzie zwykle mili, tylko rozmowy bywały zabawne, bo jednocześnie odpowiadali nam i dyskutowali przez telefony. Podczas dnia niekiedy zastajemy pomoce domowe, lub rodziców właścicieli. Ale o tym później, bo czas wysiadać. Bo „Chodzonego czas zacząć”.

Pisane nocą

„Chodzonego czas zacząć”, starsi czytelnicy zapewne wiedzą o co chodzi, a młodszym wyjaśnię. Niegdyś tak zapowiadano polski taniec, czyli popularnego na studniówkach poloneza. Dawniej nazywano go po prostu „chodzonym”. Gdy dojedziemy na miejsce

powtarzam sobie tę starą zapowiedź do utworu pt. „Pożegnanie ojczyzny” autorstwa Michała Ogińskiego.

Upłynęły już dwa tygodnie od ostatniego felietonu, zdążyliśmy więc się już oddalić spory kawałek od miejscowości przylegającej bezpośrednio do stolicy. Trafiamy na coraz dziwniejsze anomalie adresowe, budowlane, ludzkie i osobowe. Ponieważ mamy ściągawki adresowe, to spis powinien zgadzać się z numeracją, którą dała nam gmina. Okazuje się jednak, że oprócz adresów podanych przez urząd, jest jeszcze kilka dodatkowych, lub kilku brakuje.

Nowe nie wyglądają na samowolkę budowlaną, bo są to budynki zarówno nowe jak i stare, widać że zamieszkałe, zasiedziały niekiedy przez całe rodziny. O czym świadczą pozostawione przed drzwiami rowery dorosłych, rowerki dziecięce, zabawki i dużo obuwia wyjściowego. Poza tym na każdym z tych adresów „widm” wisi urzędowa tabliczka z adresem, nazwą miejscowości i numerem.

Bywają również przypadki, że w samym środku spisywanej ulicy, pomiędzy kolejnymi numerycznie mieszkaniami, stoi dom, na widok którego zwykle stajemy jak wryci, to znaczy stawaliśmy. Nie chodzi o jakieś zjawisko architektoniczne, tylko tabliczka przy furtce informuje, że jest to adres ulicy z drugiego końca miejscowości. Gdy uda namówić się właściciela, by wyjaśnił tę anomalię, to opowiada o jakiś lokalnych sporach o nazwy, wielokrotnych zmianach patronów, a co za tym idzie również numeracji. Na pytanie, że jednak jakiś porządek powinien być, zwykle odpowiadają podobnie. Przytoczę jedną taką odpowiedź, którą nawet sobie zapisałem: „Panie, co się władza zmieni, to ulice nam wymienia, przez jakiś czas miałem dokładnie ten sam adres co sąsiad naprzeciwko. Tutaj nie dziwcie się niczemu”.

I faktycznie w jednej miejscowości zarówno ulica główna jak i jej odnogi nazywały się Generała Maczka. Dom narożny miał numer właściwy, np. 4, a reszta to było 4a, 4b, 4c aż do końca. Zwykle kończyło się na „G”, ale w innych miasteczkach

dochodzi nawet do „0”. Bywają też domy, które doskonale funkcjonują na dwóch adresach. Z jednej strony numer od ulicy Andersa, z drugiej np. już Jabłoniowa. Różne ulice, różne numery, a poczta przychodzi raz pod jeden, raz pod drugi. Nadawca ma więc wybór, bo adresat zawsze będzie ten sam.

Wspomniałem wcześniej, że im dalej od zamożnych osiedli, tym drogi gorsze. O błocie i niedokończonych drogach pisałem nie będę, ale zostawię to ku wyobraźni czytelnika. Zwłaszcza w słotne dni dają popalić. Niekiedy trudno przebrnąć krótki odcinek. Czasami jest powierzchowne i tylko brudzi podeszwy, ale zdarzają się takie, w które się zapadamy jak w bagno. Mam też kilka zauważeń kiedy najlepiej jest ankietować, a kiedy lepiej nie wychodzić z domu. Najlepiej w dni powszednie w okolicach południa. Wprawdzie są to godziny, podczas których ludzie zwykle pracują, ale wtedy ci, którzy są w domach bardzo ufnie nas witają i skrupulatnie odpowiadają na zadawane im pytania.

Często trafiamy na kogoś w rodzaju pomocy domowej, lub rodziców właścicieli, którzy będąc już na emeryturze przyjechali popilnować wnuki podczas gdy ich dzieci pracują, by zarobić na spłatę kredytu zaciągniętego na ten dom. Ludzie ci zwykle znają odpowiedzi na nasze pytania, brali udział w inwestycji od samego początku, a i tak siłą rzeczy stali się tam stałymi, choć dojeżdżającymi mieszkańcami, a co jest najsmutniejsze również rodzicami dla swoich wnuków. Nic dziwnego, rodzice wyjeżdżają przed świtem, a wracają późno w nocy. Biorą po dwa etaty i zlecenia, by spłacić to zadłużenie bankowe wzięte na dom.

Dziadkowie zazwyczaj też chętnie wdają się w rozmowę. Są bardziej otwarci. To zaleta pracy w tygodniu. Wadą jest to, że u bezdzietnych nikogo nie ma. Wtedy wracamy pod ten adres w niedzielę. Poza tym, że wszyscy są w domach – jedyna zaleta dni wolnych od pracy – to bardzo niechętnie i nieufnie podchodzą do rozmów. Są zdziwieni, że w niedzielę ktoś chodzi z ankietami i to na zlecenie gminy, wkurzeni, że przeszkadza w

odpoczynku i zdezorientowani. Ostemplowany identyfikator na szyi, rozłożona teczka z blankietami, więc musi im się bardzo kotłować w głowie między drzwiami mieszkania, a furtką.

Gdy już wyjaśnimy z czym i po co przychodzimy, to czasami burkotliwie, czasami z pogardą, najczęściej jednak w sposób sympatyczny podają te dane. Gdy po raz pierwszy zaszedłem w niedzielę do pierwszego domu z naszego wykazu, zadzwoniłem wideofonem, powiedziałem że na zlecenie Urzędu Gminy spisujemy kto czym ogrzewa mieszkanie, to usłyszałem krzyk połączony ze zdziwieniem – „Co, w niedzielę?!?! Dopiero spokojnie wytłumaczyłem, że byliśmy już tu dwukrotnie w ciągu tygodnia, a ponieważ nie udało nam się nikogo zastać, to musieliśmy specjalnie w niedzielę przyjechać. Już nie udawało się załatwić sprawy przez domofon. Prawie wszyscy wychodzili by obejrzeć identyfikator. Czasami powiedzą niby do siebie, że coś takiego każdy może sobie sam zrobić.

Najgorzej było w niedzielę przed 11 listopada. Z warszawskiego Gocławia przeprowadziłem się do jednej z podwarszawskich miejscowości, w zasięgu Kolei Mazowieckich. Odległość jest trochę większa, ale czas dojazdu krótszy. Dodatkowym powodem było, że zamieszkałem u kolegi, z którym pracuję. Trochę rozpisałem się o ankietach, ale zdominowały one moje życie do tego stopnia, że jedyny dzień wolny wziąłem sobie w sobotę by pojechać do Lublina na cotygodniową terapię i dawkę substytucyjnego suboxonu.

Nasz dzień wygląda następująco. Wstajemy między piątą a szóstą rano, żeby chociaż spokojnie zjeść śniadanie i wypić kawę. Kończymy wpisywać w ankiety brakujące dane takie jak numery działek. Zawsze coś na rano zostanie, a za chwilę dowiecie się dlaczego. Wychodzimy z domu między siódmą, a ósmą i po kilku przesiadkach po dziesiątej z minutami jesteśmy na miejscu. Jeśli autobus nie ma opóźnienia i uda się wstrzelić tak, by zbyt długo nie czekać. W skrajnym przypadku może to być nawet półtorej godziny. Ale jeśli nawet kwadrans, to przy trzech przesiadkach daje to sporą obsuwę czasową.

W drodze ustalamy kwadraty, którymi będziemy się poruszać i miejsca spotkań, by wymienić informacje. Koło piętnastej zwykle jesteśmy już ledwo żywi, kończymy więc rozpoczęte ulice i około szesnastej szukamy gminnych autobusów, by dojechać do przystanku głównego z którego podobnym systemem wracamy. Powrót jest zwykle znacznie gorszy. Czekamy na autobus wielostrefowy, a bywa, że na niektórych liniach jeżdżą co pół a nawet co godzinę. Nie opłaca się wracać do ankietowanej wioski, by spisać jeszcze kilka domów, a poza tym ledwo już poruszamy nogami.

Gdy dotrzemy do pierwszej warszawskiej pętli lub metra szukamy odpowiedniego transportu, który dowiezie nas na dworzec o odpowiedniej porze. Jeśli trafimy kilka minut przed pełną godziną, to udaje się złapać interesujący nas pociąg, jeśli dojedziemy minutę po, to czekamy na Dworcu Centralnym godzinę.

I tak pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą jesteśmy w domu. Musimy jeszcze uzupełnić numery ewidencyjne działek, ale nigdy nie udaje się zrobić tego do końca, bo zwyczajnie zasypiamy. Więc jak już wspomniałem, kończymy to rano. Tak wygląda praca ankietera – którą wykonuję od trzech tygodni – ankietera spisującego czym ludzie ogrzewają mieszkania. Tak naprawdę w przypadku nałogowca jest to idealny rodzaj terapii.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info